

WSPOMNIENIA I REFLEKSJE NAUCZYCIELI

Uniwersyteckie klasy matematyczne – kilka refleksji

Problemu „uniwersyteckich” klas matematycznych nie można poważnie rozważać nie wspominając Profesora Leona Jeśmanowicza, ich twórcy. Profesor Jeśmanowicz jest nie tylko twórcą samych klas, ale także twórcą „szkoły toruńskiej” pracy z młodzieżą uzdolnioną matematycznie oraz współpracy toruńskiej uczelni ze środowiskiem nauczycieli matematyki.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych podczas pobytu w Moskwie ogromne wrażenie na Profesorze Jeśmanowiczu wywarła moskiewska szkoła – internat przy Uniwersytecie im. Łomonosowa. Klasami matematycznymi opiekował się znakomity matematyk. Styl pracy w tych klasach oraz sposób uprawiania nauki zafascynował Profesora. Zauroczony tymi ideami wspólnie z profesorem Lechem Dubikajtisem w roku 1968 uruchamia w IV Liceum Ogólnokształcącym w Toruniu pierwszą klasę matematyczną. Wskutek różnego rodzaju nieporozumień była niestety tylko jedna klasa. W roku 1973 Profesor organizuje klasę matematyczną w II Liceum Ogólnokształcącym w Toruniu. Tym razem co roku w dobrej atmosferze uruchamiana jest nowa klasa matematyczna. Niestety, pod koniec lat siedemdziesiątych ta bardzo dobra szkoła, osiągająca wiele sukcesów na olimpiadach, jaką było II LO, została rozwiązana, gdyż jeden z sekretarzy Komitetu Miejskiego PZPR pragnął zostać dyrektorem szkoły w centrum Torunia. Klasy matematyczne kończyły swój żywot w starych murach, lecz jednocześnie w strukturze nowej szkoły – CKU w Toruniu. Profesorowi udało się przenieść pod koniec lat siedemdziesiątych nowe klasy znów do IV Liceum Ogólnokształcącego, w którym to liceum działają do dziś.

Opisana powyżej krótka historia uniwersyteckich klas matematycznych pokazuje, jak instrumentalnie traktowała ówczesna władza kształcenie bardzo zdolnej młodzieży. Niestety, niewiele się zmieniło do dziś, mimo zmian ustrojowych w kraju po roku 1989. Zrealizowane pod koniec lat dziewięćdziesiątych jeszcze jedno marzenie Profesora Jeśmanowicza, związane z kształceniem uzdolnionej młodzieży Gimnazjum Akademickie, przeżywa obecnie, po paru latach działalności, podobne trudności do tych z lat siedemdziesiątych, które dotknęły II LO. Mam nadzieję, że ta unikalna szkoła będzie mogła bez przeszkód pełnić w dalszym ciągu rolę, do jakiej została powołana.

W latach osiemdziesiątych klasy matematyczne przeżywały trudne chwile. Początkowo były one samodzielnymi klasami, później stanowiły grupę w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Grupę tę odróżniało

od reszty klasy jedynie nauczanie matematyki, które prowadzili pracownicy UMK. W latach dziewięćdziesiątych klasy matematyczne funkcjonowały ponownie jako samodzielne oddziały. W roku 1990, już po śmierci Profesora, dokonane zostały gruntowne zmiany programowe w klasach matematycznych, które je wzmocniły. Późniejsze zmiany w oświacie, dzięki przychylności dyrekcji szkoły i władz kuratorskich, w niewielkim stopniu dotyczyły klasy matematycznej. „Uniwersyteckość” tych klas przez ponad dwadzieścia lat głównie związana była z postacią ich twórcy, Profesora Leona Jeśmanowicza. Oczywiście przez cały czas obowiązywała zasada, że zajęcia z matematyki, informatyki i bardzo często fizyki prowadzą w nich pracownicy uniwersytetu. W roku 1995 związek klas matematycznych z uniwersytetem został bardziej sformalizowany i trwa do dziś. Mianowicie Dziekan Wydziału Matematyki i Informatyki UMK zawarł z IV LO w Toruniu umowę o objęciu opieki „uniwersyteckich” klas matematycznych. Pozwala to Dziekanowi i Radzie WMiI mieć znaczny wpływ na nauczanie w tych klasach oraz ułatwia uczniom kontakt z Uczelnią.

Ogromnie wartościowa była i jest grupa młodzieży, która uczyła się w klasach matematycznych. W ogromnej większości są to bardzo porządni młodzi ludzie, którzy szanując innych, mają jednocześnie poczucie własnej wartości. Przypomina mi się niemal anegdotyczna sytuacja z lat osiemdziesiątych, gdy klasy matematyczne wizytowała kontrola ministerialna.

Po lekcji geometrii prowadzonej przeze mnie pan wizytator poprosił o możliwość zadania pytania klasie z analizy, na co się zgodziłem. Pan wizytator, z wykształcenia matematyk, poprosił o obliczenie pochodnych trzech funkcji – potęgowej, wykładniczej i x . Chętnych do odpowiedzi było bardzo wielu uczniów. Pan wizytator poprosił o możliwość samodzielnego wybrania ucznia, na co też wyraziłem zgodę. Po chwili namysłu pan wizytator wybrał, „trafiając” najlepszego matematyka w klasie. Wybór ten wywołał ogólną radość, a nawet wesołość całej klasy, a reakcja ta skonsternowała nieco pana wizytatora.

Powyższy epizod pokazuje, jak wielu uczniów ma właściwą hierarchię wartości w życiu. Takie postawy przede wszystkim staraliśmy się utwierdzać i rozwijać. Niestety, nie zawsze to nam się udawało. Nieprowodzenie w tej dziedzinie prowadziło w wyjątkowych sytuacjach do zachowań tragicznych. W nas, wychowawcach, pamięć o tym ciągle tkwi. Oczywiście ogromną radość i satysfakcję sprawiają nam wszelkie sukcesy naszych uczniów, jak też absolwentów, zarówno te szkolne, jak też „dorosłe”. Sukcesy uczniów w olimpiadach międzynarodowych – medale złote, srebrne i brązowe, w krajowych, w innych konkursach są dla nas taką samą radością niezależnie od tego, czy są to osiągnięcia z matematyki, informatyki czy a innej dziedziny. A sukcesów tych było немало w ciągu ponad trzydziestu lat istnienia klas matematycznych.

Dużą satysfakcją sprawia możliwość spotkania ich absolwentów jako znanych fachowców w różnych dziedzinach życia. Oczywiście jest, że większość absolwentów klas matematycznych związana jest w swoim dorosłym życiu z matematyką, informatyką, fizyką i innymi pokrewnymi kierunkami. Cieszymy się, gdy nasi absolwenci są lekarzami, polonistami, prawnikami, śpiewakami operowymi. Mamy nadzieję, że będą oni jako niematematycy głosić, iż matematyka nie musi się kojarzyć z koszmarem w szkole i oszustwami na maturze, o czym często można usłyszeć w oświadczeniach „znanych” humanistów w środkach masowego przekazu. Z klasami matematycznymi związany był pewien charakterystyczny styl spędzania wakacji, organizowania wycieczek szkolnych, w czym główną rolę odgrywały wyprawy w góry. Przez pewien okres czasu tradycją było sprawowanie opieki i wciąganie w życie szkoły klas przychodzących przez roczniki starsze bądź też przez absolwentów. Niestety, nie zawsze udawało się to kontynuować tak, jak zamierzaliśmy. Przepraszam, że tak mało piszę o matematyce i jej sprawach przy okazji klas matematycznych, ale wydaje mi się, iż ogromne sukcesy matematyczne same się obronią i rozpowszechnią, natomiast istotną sprawą jest, by szkoła mogła pomóc każdemu swojemu wychowankowi znaleźć własną, możliwie najlepszą drogę w życiu.

Na zakończenie proszę pozwolić wypowiedzieć kilka zdań o grupie nauczycieli z uniwersytetu, którzy uczyli matematyki, informatyki, fizyki. Większość z nas związana była bardzo ściśle z Profesorem Jeśmanowiczem, bądź jako jego uczniowie, bądź pracownicy Zakładu Dydaktyki kierowanego przez niego. W ostatnich latach coraz częściej pojawiają się w szkole młodzi pracownicy uczelni, którzy prawdopodobnie nigdy w życiu z Profesorem się nie spotkali, a może nawet niewiele o nim słyszeli. Ta zmiana pokoleniowa, chociaż naturalna, cieszy jako kontynuacja dzieła Profesora. Warto jeszcze podkreślić, iż wielu z nas zaangażowało się w życie szkoły i klas matematycznych znacznie ponad nauczanie tylko swojego przedmiotu. Jako ciekawostkę pragnę dodać moją drogę do klas matematycznych. Po pierwsze jestem uczniem Profesora Jeśmanowicza. Po drugie w roku 1975 moja żona, która w tym czasie uczyła matematyki w klasach uniwersyteckich, urodziła drugiego syna i ja miałem ją tymczasowo zastąpić. To tymczasowe zastępstwo, jak wiadomo w Polsce najtrwalsza sytuacja, trwa do dziś. Mam nadzieję, że dobry Bóg pozwoli je kontynuować jeszcze przez jakiś czas.

*Zbigniew Bobiński,
opiekun z ramienia Dziekana WMiI UMK
oraz nauczyciel klas matematycznych w IV LO*

Różne zdarzały się problemy, ale wszystkich moich uczniów wspominam z sympatią

Kończąc studia nigdy nie myślałam o pracy w szkole, ale życie napisało inny scenariusz. I tak moja „przypadkowa” praca w szkole trwała 43 lata, a w IV LO 31 lat. Obecnie od dwóch lat jestem na emeryturze.

Pracę w IV LO rozpoczęłam 1 września 1972 roku. Uczyłam geografii, astronomii (pierwsze lata) oraz prowadziłam fakultety geograficzne, a następnie geograficzno-

ekonomiczne. Uczenie dawało mi dużo satysfakcji, szczególnie praca z młodzieżą, która brała udział w Olimpiadach Geograficznych czy Ekonomicznych, a była to spora grupa. Szczególnie serdecznie wspominam Małgosię Wojdyło, Adama Banaszaka, Tomka Jaworskiego, Macieja Kłobukowskiego, Piotra Majewskiego. Byli to inteligentni, sympatyczni i dowcipni uczniowie. Dzielili moje pasje, a to zawsze największa radość dla nauczyciela.

Kilka klas prowadziłam jako wychowawca. Różne zdarzały się problemy, ale wszystkich moich uczniów wspominam z sympatią. Zależało mi, by szkolne trudności – jeśli się zdarzały – przezwyciężyli i pomyślnie szli dalej przez życie. Z satysfakcją muszę powiedzieć, że im się to udało. Prawie wszyscy moi wychowankowie dostali się na studia i ukończyli je. Wielu z nich, jak na przykład Ania Raczyńska, to wybitni specjaliści. Inni, jak Danka Rozpłoch, Piotr Bała czy Sławek Kalinowski, są naukowcami. Piotr Nowak i Grzegorz Marczuk zajmują eksponowane stanowiska. To bardzo cieszy.

Z niektórymi uczniami utrzymuję kontakty, nawet z tymi, których los rzucił poza ocean, na przykład z Janką Maj-Zielińską. Spotykamy się czasami w różnych miejscach i sytuacjach. Sympatyczne są momenty, kiedy spotykam swojego ucznia, który już wyłysiał lub ma wąsy i brodę i serdecznie się wita. Cieszę się wówczas, że poznaje swoją belferkę.

Nie mogę pominąć miłych wspomnień z wycieczek, które organizowałam z młodzieżą, a zwiedziliśmy spory obszar Europy. Podróżowaliśmy do byłej Czechosłowacji, Węgier, Austrii, Włoch, przejechaliśmy część Francji, kraje Beneluksu, Skandynawię, Litwę. Młodzież godnie reprezentowała szkołę, ponieważ byli to uczniowie odpowiedzialni, zdyscyplinowani i koleżeńscy, a przy tym umieli stworzyć serdeczną atmosferę.

Podsumowując moje refleksje mogę powiedzieć, że życie czasem samo dokonuje trafnych wyborów. Choć- jak wspomniałam- zawód nauczyciela nie leżał w moich planach, gdybym miała decydować jeszcze raz, wybrałabym go ponownie.

*Urszula Raths Pietrucień,
nauczyciel geografii w IV LO w latach 1972–2003*

**Więc o Dostojewskim, Tołstoju, Puszkynie mówiło się chętnie,
a nie o Leninie. Z oka przymrużeniem pisane wspomnienie**

Jeden z trzech etatów przypadł mi w udziale
w 82-gim. Nie myślałam wcale,
że to potrwa jeszcze lat osiem jedynie.
i tak jak komunizm, rosyjski przeminie.
 Śród języków obcych rosyjski wiódł prym.
 Rusycyści nie byli w położeniu złym.
 Zajęć dla nich w szkołach – oj! – nie brakowało!
 W IV LO wówczas podobnie się działo.
Jako język pierwszy i obowiązkowy
musiał być rosyjski. Nie było więc mowy
o innej jakości.
Angielski, niemiecki – w drugiej kolejności.
 Francuski też drugi, a może i trzeci.
 Nikt nie pytał ojców, nikt nie pytał dzieci.
 Nikt nie oczekiwał żadnych deklaracji
 odnośnie języków – w tamtej demokracji.
Niektórzy uczniowie trochę się burzyli,
że niesprawiedliwość, że gwałt to sądzili,
że się im narzuca obce panowanie
przez języka braci – wschodnich – nauczanie.
 Lecz kiedy poznali, przyznać szczerze muszę,
 cele nauczania i myśli, i duszę,
 wtedy rozumieli – to nie polityka,
 tylko poznawanie obcego języka.
„По – пыцку” mówili, pisali, czytali.
Nawet w olimpiadach sukces osiągnęli.
Ambicją niektórych, nie przesadzam wcale,
Było poznać mistrzów w oryginale.
 Więc o Dostojewskim, Tołstoju, Puszkynie
 Mówiło się chętnie, a nie o Leninie –
 jak określał program i instrukcji wiele,
 nazywając treści, zadania i cele.
Kultura wysoka dość motywowała.
Do nauki języka zawsze zachęcała.
Jednakże względy praktyczne, jak wiecie,
Nie miały szans bytu – bez kontaktów przecież.
 A w 90-tym wszystko się zmieniło,
 Do góry nogami, prawie, odwróciło.
 W Polsce, świecie, w szkole, nie do opisania.
 Nastał czas odmiany i odreagowania.
„Sojuz” przestał istnieć, berliński mur też.
Ucz się rosyjskiego, jeśli tylko chcesz.

Ucz się bez przymusu, na szczęście od teraz.
 Wybierać już możesz, jak marzyłeś nieraz.
 Pierwszy jest angielski i odtąd króluje.
 Niemiecki, francuski pierwszemu wtóruje.
 Rosyjski niechciany – w wyraźnym odwrocie.
 Więc na rusycystów przyszło bezrobocie.
 Na emeryturę, kto może, odchodzi.
 Kwalifikacje zmieniać starali się młodzi.
 Nieliczne godziny jeszcze pozostały.
 Mnie zaproponowano – przejść między regały.
 Przyjęłam z pokorą, ciesząc się tym gestem.
 Zwolenniczka przemian byłam, nadal jestem.
 Ogólnie wiadomo – dla dobra wyższego
 warto jest poświęcić nawet coś drogiego.
 Z roku na rok mniej godzin, aż do wyczerpania.
 W 97 – mym – koniec – bez komentowania!
 Może jeszcze kiedyś będzie ktoś gotowy
 Uczyć się rosyjskiego na warunkach zdrowych.
 Rymy częstochowskie – z mego założenia
 i nieporadności poezji tworzenia.
 Czytając powyższe miejcie to na względzie.
 I na jubileusz – pamiątką niech będzie.

Anna Kola,

*nauczyciel języka rosyjskiego w latach 1982–1997
 obecnie bibliotekarz w IV LO*

To, czy uda się nam praca z uczniem wybitnie uzdolnionym, zależy naprawdę przede wszystkim od nas samych

O tym, by zostać nauczycielem matematyki, myślałem już w szkole średniej, zaś praca z uczniami uzdolnionymi matematycznie stała się moją pasją już na I roku studiów matematycznych w Toruniu. Tutaj właśnie miałem wielkie szczęście kontynuować swoje kształcenie pod opieką profesora Leona Jeśmanowicza.

Będąc studentem pierwszego roku matematyki, któregoś popołudnia poszedłem do Profesora i spytałem, czy nie zgodziłby się na to, abym mógł mu pomagać w tej pięknej działalności na rzecz uzdolnionych matematycznie dzieci. (...) Profesor przystał na to i odtąd – a było to w lutym 1981 roku – zjawiałem się w każdą niedzielę w Instytucie Fizyki UMK przed godziną dziesiątą. Trwało to przez kilka tygodni, aż któregoś niedzieli Profesor zaproponował mi zamianę ról. Miałem ogromną treść, mimo że stałem przed dobrze już mi znanym audytorium. I oni się obejrzałem, kiedy zacząłem prowadzić zajęcia koła zupełnie samodzielnie. Pasjonowało mnie na nim wszystko. Cieszył każdy najdrob-

niejszy sukces, martwiło zaś to, że z tygodnia na tydzień ubywało słuchaczy. Widocznie tak musiało być. Do końca roku szkolnego wytrwali najlepsi, naprawdę wspaniali. (...)

Pracując czy to z dziećmi, czy z młodzieżą licealną, staram się stworzyć bardzo ciepłą atmosferę. W czasie zajęć panuje autentyczna swoboda, której towarzyszy duch nauki. (...)

Bardzo wcześnie zrozumiałem, że w pracy z uczniem matematycznie zdolnym najwięcej można osiągnąć traktując go po partnersku. Warto więc stworzyć atmosferę wspólnej nauki matematyki. Niech on będzie świadom tego, że nauczyciel także może czegoś ze swej dziedziny nie wiedzieć. Nie rywalizujemy z takim uczniem. I tak nas kiedyś prześcignie. Bądźmy dla niego przewodnikiem, chcemy z nim rozmawiać. Dajmy mu satysfakcję, że nauczyliśmy się czegoś od niego.

Bardzo często zastanawiam się, jak to właściwie się dzieje? Najpierw, kiedy zaczynam pracę z talentem matematycznym, wprowadzam go w trochę nowy dla niego świat matematyki elementarnej, taki niestandardowy (i chyba dlatego taki piękny!), a później, nawet nie wiadomo kiedy, coraz odważniej stawiam problemy, których sam jeszcze nie umiem (przynajmniej „na razie”) rozwiązać. A on świetnie sobie z tym radzi! Uczeń taki, szukając rozwiązania, idzie własną ścieżką, o której ja nawet nie pomyślałem. To chyba ta jego świeżość i bystrość spojrzenia na dany problem, „nieskalana” żadną poukładaną teorią, jest tym, co niezawodnie potrafi go poprowadzić na właściwy trop. Ta umiejętność otrzymywania oryginalnych, nieszablonowych i trudnych zadań świadczy o jego talencie.

Starajmy się robić wszystko, aby uczeń swój talent rozwijał. (...) Niech uczeń ma poczucie swojej wartości, ale też nie akceptujemy wszelkich przejawów pychy i zarozumiałstwa. Uczeń taki ma wyrosnąć na mądrego, uczciwego, umiejącego się znaleźć w każdej sytuacji człowieka.

*Henryk Pawłowski,
nauczyciel matematyki w IV LO od roku 1984?*

Szczególną satysfakcję sprawia mi to, że dla wielu uczniów w „Czwórcie” sport to także sposób na życie

Pozbierałem okruchy pamięci dotyczące mojej pracy w IV LO. Przyjmował mnie w 1982 roku dyrektor Hałat i – ponieważ niełatwo było wówczas dostać się do „Czwórki” – długo musiałem przekonywać go o tym, że się tu sprawdzę. Znalazłem się w szacownym gronie, zacząłem pracować u boku koleżanek – Jolanty Wiewiórskiej i Barbary Chrzanowskiej.

Co zostało w pamięci? Przede wszystkim uczniowie i to ci, którzy wyróżniali się niekoniecznie w nauce. Pamiętam więc w dekadzie stanu

wojennego tych, którzy wykazali się szczególną odwagą demonstrowania swoich przekonań. Były modlitwy na Anioł Pański, demonstracje w czarnych strojach, zawieszenie panoram po śmierci księdza Popiełuszki.

W bardziej przyjaznych czasach uczniowie zaskakiwali nas często humorem i pomysłowością. Na jednej ze studniówek Radek Smużny z partnerką przyszli ubrani w kombinezony monterów. Pamiętam jednego z uczniów, który co dzień przychodził do szkoły w innym nakryciu głowy – czapce, garnku ze świeczką – często były to wymyślne konstrukcje. Cała szkoła co rano wyczekiwała z ciekawością na nową atrakcję. Słyszałem, że dziś ów innowator jest zapalonym podróżnikiem.

Oczywiście nauczyciel wychowania fizycznego powinien pamiętać sportowców. Tak jest. Wielu uczniów zaangażowało się w szkolny sport jako wspaniali zawodnicy z różnych dziedzin, ale także jako organizatorzy wielu imprez. Ich nazwiska pozostały w szkolnych kronikach i nie będę nikogo wymieniał, bo po prostu trudno dokonać wyboru. Przypomnę tylko jedną historię. Swego czasu reprezentantem szkoły w koszykówce był Grzegorz Bobiński. Na wyjazdowych meczach w Słupcy czy we Włocławku zaczęły pojawiać się tłumy. Myślałem, że to koszykówka cieszy się takim powodzeniem, ale okazało się, że „kibice” to raczej matematycy, którzy przychodzą porozmawiać ze zwyciężącą międzynarodowej olimpiady matematycznej w Hongkongu...

Pamiętam wspaniałe wycieczki do Kijaszkowa czy w Bieszczady i długie nocne rodaków rozmowy przy ognisku. Jako wychowawca starałem się traktować uczniów po partnersku i choć to nie ja rozliczałem ich z nauki, klasy matematyczno-fizyczne należały do najlepszych w szkole.

Zastanawiam się, co pamiętają uczniowie. Myślę, że „górkę Piwońskiego”, czyli fragment skarpy wiślanej za mostem, gdzie we wrześnie i na wiosnę każdy rocznik uczył się pokonywać własne słabości.

Szczególną radość i satysfakcję sprawia mi to, że sport w „Czwórcę” to dla wielu uczniów także sposób na życie, coś, co obok nauki kształtuje postawy. Z wieloma uczniami kontakty utrzymuję do dziś. Przychodzą i mówią o sobie. Dla niektórych właśnie działalność w szkolnym sporcie stała się punktem wyjścia do kariery zawodowej. Inni mówią o udanym życiu, rodzicach, o sukcesach zawodowych, firmach, stanowiskach. Nauczyciela cieszy, kiedy widzi swoich uczniów jako ludzi spełnionych.

*Andrzej Piwoński,
nauczyciel wychowania fizycznego od roku 1982*

**To, kim jestem, w znacznym stopniu określiły
moje kontakty z uczniami i nawet zasłużona emerytura
nie wymaże świadomości siebie i innych, którą pozwoliło mi
nabyć wykonywanie tego zawodu**

Trudno pisać wspomnienia, ponieważ dotyka się wówczas tego, co jest niebezpieczeństwem, a nieraz nawet przekleństwem zawodu nauczyciela. Wkraczając w życie tak wielu młodych ludzi nie można (i chyba nie trzeba) bronić się przed emocjami. Życie na wysokich obrotach sprawia, że często chce się rzucić wszystko i żyć rozsądniej gdzieś, gdzie nic mnie nie będzie obchodziło i ja nie będę nikogo obchodziła. I pewnie w końcu – taka jest kolej rzeczy – to nastąpi. Jednak to, kim jestem, w znacznym stopniu określiły moje kontakty z uczniami i nawet zasłużona emerytura nie wymaże świadomości siebie i innych, którą pozwoliło mi nabyć wykonywanie tego zawodu

W ciągu ponad dwudziestu lat w IV LO towarzyszyłam jako wychowawca pięciu klasom. Właśnie opuściła szkołę ostatnia z nich. Żmudnie przedzieraaliśmy się przez literaturę tropiąc „motywy drobiu” i „dobrego dzikusa”. Mam nadzieję, że moją surowość i napięcia przed nową i dla nich, i dla mnie maturą łagodził nieco humor i radosne przeżycia z potyczek, wycieczek czy przedstawień szkolnych. Wielką przyjemnością była dla mnie matura ustna, pokazująca, jak wiele możliwości tkwi w uczniach, jak przekonująco potrafią mówić o tym, co ich interesuje. Jestem przekonana, że poradzą sobie w życiu, nawet kiedy – a w ich przypadku tak jest – niedoskonały jeszcze nowy system edukacji piętrzy przed tym „eksperymentalnym” rocznikiem dodatkowe trudności.

Pamiętam też pierwszą klasę, którą objęłam w „czwórce”, IVb. No cóż, niezbyt jeszcze doświadczony młody nauczyciel, mało pewności własnych poczynań, liczne – niestety – błędy i kilka porażek. Z ulgą więc po latach widzę, że ci, których nie doceniałam, i inni, radzą sobie świetnie. Niech więc w pamięci pozostanie raczej przedstawienie, które przygotowali dla klas I, piękne dziewczyny w strojach z lat 60. i niezapomniany song o żywocie ucznia z czwórki, który stereotypową szkolną imprezę zmienił w prawdziwy koncert z wirującymi w powietrzu marynarkami.

Potem były kolejne trzy klasy, wszystkie „a”, każda jednak inna i każda niezapomniana. Z pierwszą łączy nas m.in. pobyt w Leidzie i rewizyta Holendrów, występy klasowych aniołków – dziewcząt i „piekielny” urok chłopców (w naturze podział chyba nie przebiegał według płci). Myślę, że to oni pozwolili mi okrzepnąć w roli nauczyciela i wychowawcy. Bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni (dwa klasowe małżeństwa), zdolni i inteligentni, z wielkim poczuciem humoru, pozostawili jednak wśród siebie miejsce dla nauczyciela, a po sobie albumy pamiątkowych zdjęć, do których podpisy zdradzają szczególnie rodzaj porozumienia i mądry dystans do szkolnych spraw.

Następna klasa „a” to (dla orientacji) wycieczka do Paryża i koncert na 50-lecie szkoły. Szczególni uczniowie. Nie było dla nich rzeczy niemożliwych do zrobienia, nigdy nie było im wszystko jedno. Właściwie wychowawczo „samowystarczalni”, nauczyciel powinien im raczej nie przeszkadzać i mam nadzieję, że mi się to udało. W pamięci pozostają ich literackie i muzyczne pasje, koncerty na gitarze, ciekawe prace, kreacje aktorskie, piosenki i recytacje, od których przebiegał dreszcz. Myślę o nich jak o starych dobrych znajomych, bo od matury mija wkrótce 10 lat.

Przedostania klasa „a” (wycieczka do Bordeaux) – to ciekawy zbiór różnorodnych osobowości, niepokornych w dobrym tego słowa znaczeniu. Podporę zawsze można było znaleźć w żeńskiej części klasy, chłopcy natomiast zapewniali „twórczy ferment”. Na lekcjach i poza nimi od szkolnej uciążliwości i rutyny ratowało nas poczucie humoru widoczne choćby w gazecie „Kora Mózgowa”, w odkrywczych interpretacjach programu Big Brother, nad którym tak często się pastwiłam na języku polskim, w literackich popisach z Gazety Wyborczej czy klasowych przedstawieniach. Dziś świetnie sobie radzą na studiach i ciągle – jak słyszę – poszukują coraz to nowych dróg rozwoju.

W klasach z rozszerzonym językiem angielskim (nich mi panowie wybaczą ten niezamierzenie feministyczny wtór) ton nadawały najczęściej dziewczyny, mądre i pełne wdzięku. Za to chłopcy, też im nie ustępując, byli bardziej hołubieni i – nie zawsze dla nich szczęśliwie – zauważani na lekcjach. Nie były to „łatwe” klasy, skupiały mocne indywidualności, oczekiwały niebanalnych lekcji i w dużym stopniu je współtworzyły. Dziś – jak wiem – niektórzy z nich są dziennikarzami, pracują naukowo, zajmują się sztuką, psychologią, nauczaniem i nawet w wielkim świecie doskonale sobie radzą.

Klasy matematyczne wbrew pozorom nigdy języka polskiego nie odrzucały, przeciwnie, dyskusje w nich bywały bardzo zacięte, a dla mnie inspirujące. Co je wyróżniało?

Mocne charaktery, duża niezależność, konsekwencja w trzymaniu się zasad, które sami wyznaczali, żart graniczący z ironią. To właśnie z klasy matematycznej i angielskiej w latach 80. wywodzili się uczniowie, którzy demonstrując swoją postawę polityczną uświadamiali, także nam, nauczycielom, że nie można pozostać człowiekiem „bez właściwości”.

Jeszcze słowo o „zerówce”, klasie poniekąd eksperymentalnej i mimo mojej rezerwy do eksperymentów, niezwykle udanej, tym bardziej, że przeważały w niej ciągoty humanistyczne. Ileż ja się tu nauczyłam rozumienia literatury, ile dowiedziałam o możliwościach słowa...Prace, szczególnie kilku uczniów, były dla mnie zawsze intelektualną przygodą.

Klasy biologiczno-chemiczne też nie były z punktu widzenia polonisty „stracone”. Przeciwnie. Rzetelni i skupieni na swoich dziedzinach

potrafiliby się często otworzyć na humanistykę, o czym świadczą choćby filozoficzne zainteresowania niektórych, obecnie już studentów medycyny czy socjologii, oraz tegoroczna matura, gdzie niektórzy zaskakiwali mnie nie mniej niż humaniści.

Miałam w IV LO grono olimpijczyków. Pierwsza w tym gronie laureatka musiała tylko uwierzyć w siebie, bo ją, jak i następnych cechowała właściwie pełna już dojrzałość intelektualna. Moja praca z nimi (wyrzucam sobie, że nie zawsze wystarczająca) to raczej doradztwo i wskazywanie możliwych tropów. W swoich esejach potrafili olśnić retoryką, nigdy jednak nie gubiąc logiki. Niektórzy wręcz onieśmielali mnie erudycją, a z ich interpretacji czerpałam inspiracje do lekcji.

Innego, choć nie mniejszego rodzaju wzruszeń dostarczali recytatorzy i aktorzy. Pamiętam więc „Moby Dicka”, którego nikt chyba nie powiedziałby lepiej niż pewien uczeń klasy mat. – fiz (obecnie lekarz), pamiętam monodramy i wiersze Szymborskiej w wykonaniu wspaniałych dziewcząt. Nasze przedstawienia (Aktor, Tygrys, Parzyści, Nowocześni) były chyba nie tylko angażującą uczniów zabawą w teatr, ale – sądzę – również jakiś stopniem wtajemniczenia w sztukę.

Klucz „klasowy” ani naukowy nie wystarczy rzecz jasna, by określić istotę kontaktów z uczniami. Bogactwo osobowości, z którymi się spotykałam, zabieram do domu, bo nie jest się nauczycielem od 8 do 15. Muszę więc wspomnieć o dwóch wspaniałych siostrach i ogromnej doświadczonej od nich życzliwości i pamięci. O licznych absolwentach, towarzyszących mi później na wycieczkach w góry jako opiekunowie i demonstrujących młodszymi postawami, których nie można nauczyć się inaczej jak przez przykład. Spotkania z owymi wyjątkowymi uczniami, zarówno te przypadkowe, jak i zamierzone, na ślubach czy mszy prymicyjnej przypominają mi ich wrażliwość, szlachetność, szczególne walory i format osobowości, którzy nie zawsze ułatwiają codzienne życie. Ze spokojem mogę więc mimo wszystko myśleć o naturze tego nie zawsze najlepszego ze światów, jeśli widzę, że pozwala im ułożyć sobie udane życie rodzinne, naukowe, zawodowe czy duchowne.

*Małgorzata Puzio,
nauczycielka języka polskiego*